

# OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

2

Ciąg dalszy.

Jan na te słowa podniósł twarz, w dłonie ukrytą dotychczas i wzrokiem osłupiałym spojrzał w oczy swojej towarzyszki, z niewypowiedzianem pytaniem na uśmiech, które drżały tylko nerwowo. Ona zaś prawie spokojnie, z wielką w głosie powagą, wtajemniczała go w dalsze szczegóły zawisłej nad ich szczęściem katastrofy.

— Tu idzie o życie mego ojca i o życie mego brata!

— Aa... zaczynam rozumieć... Brat twój zapewne zbyt wiele naraz przegrał w karty...

— Tak, dług jego wynosi sumę ogromną... ojciec zaś nasz, jak się dziś dowiedziałam od niego, zubożał naraz do tego stopnia, że, jak się sam wyraził, grozi mu kij żebraczy...

— Więc aż tak źle z nimi, powiadasz?

— Ojcu i bratu nie pozostaje nic innego, jak kulka w łeb, jeżeli ja...

— Jeżeli co? — krzyknie Jan — dokończ, dokończ!

— Jeżeli ja nie zechcę usłuchać swego ojca, to znaczy, jeżeli natychmiast nie rozłączę się z tobą, jeżeli nie odejdę stąd jako hrabianka Rożniewska i nie zostanę baronową de Goldenthal...

Przez długą chwilę cisza grobowa panowała w pokoju i słychać wśród niej było tylko miarowe tykanie zegara między oknami oraz przyspieszone a nierównomierne tętna dwojga serc ludzkich na otomanie. Nakoniec pierwszy przerwał przykre milczenie Jan, zwracając się do bladej kobiety:

— I cóż zamierzasz uczynić? — zapytał, lecz znowu długa upłynęła chwila, zanim ona z kolei dała mu odpowiedź:

— Jeżeli nie spełnię życzenia, czy raczej żądania ojca... o Boże, jakież to okropne... natenczas stanę się morderczynią własnego ojca, morderczynią własnego brata... bo znam ich i wiem, że istotnie w takich okolicznościach zabijają się sami, jeden jak drugi, a nie przeżyją hańby, jaka ich czeka... A jednak ja przecież jestem twoją żoną, wszak poślubiłam cię przy ołtarzu, przysięgaliśmy sobie wzajemnie w obliczu Boga i mam się przecieć za ślubną żonę twoją: jakże tedy mam ciebie odejść, skoro ci z miłości poprzysięgła, iż cię nie opuszczę aż do śmierci... Więc czyż powinnam dziś mimo wszystko porzucić ciebie i dziecko nasze?

Pot zimny oblał ciało młodego mężczyzny. Nie podnosząc na nią oczu, rzekł głosem złamanym:

— Zapewne, Wandeczko... powinnaś...

— Jaśku mój! — rzuciła się z krzykiem na niego — a czyż ty nie wiesz, że ja cię kocham i jak ja cię kocham, jedyny ty mój, mój!... Przecież by to śmierć moja była, ciebie opuścić... a jednak, a jednak mój ojciec, mój brat... Boże!

— Powiedz mi — zagadnął ją po dobrej chwili Jan w przynębieniu — ile wynosi dług twojego brata?

— Trzydzieści pięć tysięcy rubli, dług honorowy, który musi być spłacony gotówką w ciągu ośmiu dni najpóźniej... a baron Goldenthal chce dać pieniądze, z chwilą, gdy otrzyma z moich ust przyzwolenie na małżeństwo.

— Czy on wie o tem, że jesteś moją żoną?

— Ach mój drogi, czy ty wiesz, o co tu idzie... Mój ojciec staje się bankrutem, nędzarzem o tej samej godzinie, w której Goldenthal odmówi mu pomocy, a nikt inny nie pomoże... Jest to zaś sprawa o setki tysięcy rubli, tu potrzeba kroci, to historia bez wyjścia i tylko jeden Goldenthal gotów rzecz rozwikłać szczęśliwie, lub za jednym zamachem ojca mego na bruk rzucić żebrakiem i bratu memu życie młode zniszczyć... Więc mówże ty teraz, Janku, co czynić należy, pomóż mi, na Boga, poradź, co ja biedna mam począć.

— A co ci sumienie nakazuje?

— A święty Boże, alboż ja wiem, straszny to wybór... Miałabym rozłączyć się z tobą, którego nad życie ukochałam, miałabym rozdzielić się z dzieckiem, które mi się stało jedynym szczęściem... albo ojciec i brat odbiorą sobie życie... Janeczku mój, zdaje się, że nie ma innej rady, tak, tak, muszę uczynić, czego oni odemnie wymagają, muszę postąpić, jak żąda ojciec... Toć chyba obowiązek córki, obowiązek siostry... Ale ty, mój Jaśku, ty i nasz Tadziki!

I ręce zarzuciła mu na szyję, szlochając rozpaczliwie, gdy on siedział jak martwy, biorąc od niej pocałunki palące, pełne miłości i cierpienia bez miary zarazem.

Wtem oderwała się od niego gwałtownie i bladej swą przerażającą, zawołała, stojąc przed otomaną jak upiór:

— Muszę... przebac mi, Janku... muszę odejść od ciebie... To, widzisz, był tylko sen, czarowny sen, jaki mi Bóg dał prześnić na twojem sercu... A teraz, cóż za straszne przebudzenie!

W tej chwili w przedpokoju rozległ się ostry dzwonek. Musiało się śpieszyć temu, kto tak gwałtownie nacisnął guzik u drzwi.

Wprawdzie nie było w tem nic dziwnego ni nadzwyczajnego w ich domu, a jednak na ten odgłos dzisiaj zerwali się oboje, chcąc biec ku drzwiom. Ale zaraz spojrzało jedno na drugie, poczem on i ona cofnęli się z powrotem na środek pokoju, tembardziej, że już służąca znalazła się w przedpokoju.

Drzwi się otwarły z przedpokoju do salonu.

— Proszę pana — zawołała służąca, a w drzwiach stanął lokaj w czarnej liberyi, z galonowanym cylindrem w jednej ręce i z listem w drugiej.

— Czy sam pan doktor Jan Anielski — zapytał lokaj od drzwi, ku którym uspokojony już podeszedł gospodarz domu. — Mam list oddać do rąk własnych i czekam na odpowiedź...

Ręce drżały mimowoli Janowi, gdy rozrywał kopertę i ku lampie zmierzał, żeby list przeczytać, Wanda zaś obojętnie podeszła do kosza u okna i coś machinalnie poprawiała przy kwiatach.

— Przyjdę natychmiast — odpowiedział lokajowi Jan, przeczytawszy list jednym tchem.

— Dobrze, proszę pana, czekam z powozem przed bramą.

Doktor nie widział już nawet, że lokaj się oddalił, a utkwiał tylko wzrok w następujące słowa listu:

„Majątek Panu oddam, ale przybywaj Pan natychmiast ratować moje dziecko“!

W oczach Jana migotał jakiś błysk radości niespodziewanej, gdy wciskając w rękę Wandy sztywną éwiartkę drogiego papieru, pocałował żonę w ramię i szepnął na odchodem:

— Spokoju, jesteście ocaleni.

Wanda zdumiona powiodła wzrokiem za wybiegającym do przedpokoju doktorem, ale długa chwila minęła, zanim zdecydowała się odczytać wręczony jej przez męża list, mimo bowiem rzuconych jej przez niego paru słów nadziei, wyobrażała sobie, iż papier ten zwiastuje im coś złego.

Słyszała więc jeszcze zatrask zapadający u drzwi wchodowych, gdy mąż jej, ubrawszy się śpiesznie, wybiegał z domu, słyszała tuż pod oknami turkot ruszającego z przed bramy powozu i rzuciła się nagle ku szybie, chcąc jeszcze za nim wyrzucić, bo przez jedno mgnienie oka zdawało się przynębionej kobiecie, iż powóz ten uwozi jej Jana na zawsze...

Ale z okna zobaczyła już tylko spokojnie toczący się tramwaj i jakichś parę ciężkich wozów, które z trudem wśród wykrzykników woźniców ciągnęły ogromne, błyszczącymi blaszkami obwieszane konie.

Wróciła zatem na otomanę i usiadłszy, pełna złych przeczuć, czytała list:

„Szanowny Panie Doktorze!

Zaklinam Pana, przybywaj do mnie natychmiast — każda chwila opóźnienia może kosztować życie ludzkie... Majątek Panu oddam, ale przybywaj Pan natychmiast ratować moje dziecko! Ani chwili zwłoki, Panie Doktorze!

Z poważaniem

Mirosław ks. Czerski“.

Wanda odetchnęła po przeczytaniu listu:

— Boże mój, Boże! Czy to możliwe? Więc jeszcze wszystko mogłoby być dobrze — i lży tryśnięły dwiema strugami z czarnych jej oczu, spływając z wolna po bladej twarzy młodej, pięknej kobiety.

W kwadrans później na palcach wsunęła się doktorowa Anielska do sypialni i nachyliła się nad łóżeczkiem jedynaka. W tej chwili już lekki uśmiešek igrał koło ust na jej smętnej twarzy, gdy nad śpiącym dzieckiem szeptała półgłosem:

— Nie, mój aniołku, nie, mój śliczny chłopczku, nie rozłączę się z tobą... Bóg nas nie opuści... Śpij spokojnie, mój złoty Tadziku...

Moje dziecko!

Marylka Reman, którą niedawno poznaliśmy na Mazowieckiej, gdy zwierzała się ze swej niedoli przed doktorem Anielskim, wróciła do domu

późnym wieczorem znużona niewymownie wielogodzinną wędrówką daremną po mieście w poszukiwaniu miejsca.

Nie miała już ani kopiejki, a musiała dziś zapłacić komorne pod grozą utraty dachu nad głową. Znikąd pomocy, a posady dostać nie sposób. Gdzie tylko mogła pójść, poszła i jak gdyby wszystko sprzysięgło się na nią, wszędzie otrzymała jednaką odpowiedź odmowną.

To też biedną dziewczynę zaczynała już rozpacz ogarniać i w głowie jej się mąciło, gdy dziś wspinała się po wąskich a wysokich schodach, wiodących na czwartą do jej mieszkania. Już na drugim piętrze przystanęła, żeby tchu złapać, ale gdy się znalazła na trzecim, oparła się o zimną ścianę, nie mogąc w żaden sposób iść dalej. Nie tylko nogi wypowiadały jej posłuszeństwo, zdrożone całodzienną bieżącą między Mokotowem a Podwalem, między Browarną a Żelazną, po wszystkich dzielnicach Warszawy, dokąd tylko wskazywały jej drogę adresy z drobnych ogłoszeń „Kuryera“; ale nadto im bliżej znajdowała się swego czwartaka, tem większa trwoga ogarniała bezradną kobietę na myśl, że nie uniknie spotkania ze straszną Kucharczykową, która ją opadnie zaraz na wstępie z pretensjami o niezapłacone komorne za podnajmowany od niej marny kącik.

I nie omyliła się; kiedy nareszcie z bijącym sercem weszła w długi, wąski korytarz czwartego piętra, drzwi skrzypnęły natychmiast i pokazała się w nich rozczochrana głowa, do której podobnej, pani Kucharczykowej.

— No cóż panienko? Późno wracamy... To pewno dobrze, co?

— Jak to pani rozumie?

— Ano pytam, czy panienka już co znalazła.

— Właśnie, że niestety nigdzie posady zdobyć nie mogę.

— A ja do jutra rana komorne dostać muszę.

— Ależ moja pani Kucharczykowa, przecież pani powiadam, że daremnie cały dzień biegała i nic nie wychodziła, nic nie mam, skądże pani wezmę... To jednak długo nie potrwa, staram się, pani widzi, że nie siedzę na próżno, tylko ciągle szukam, więc musi się wreszcie coś znaleźć dla mnie, w tych dniach na pewno.

— A jakże... A jakże... Już mi panna dawno tak powiada, jedno i to samo. Dłużej czekać nie będę, jak Boga kocham, nie mogę. Nie panna nie znajdziesz ze swoją dumą, to darmo, trzeba pójść na kelnerkę, na bufetową, takie miejsce prędzej się trafi, niż to, co pani tam sobie szuka ze swoim wykształceniem. To nie można tak się cenić, jak potrzeba pieniędzy.

— Co też pani Kucharczykowa mówi, gdzież mnie kto z moją garderobą przyjmie na kelnerkę, gdybym nawet chciała. Na sklepową nikt mnie nie chce, skoro tylko zobaczy, jak jestem ubrana.

— Ten młody panicz z pierwszego piętra zaraz pannie gotów kupić suknie... i pieniędzy dałby także, ileby się chciało... Tylko nie trzeba tak się drożyć z cnotką, gdy się raz już dziecko miało.

— Co, ja miałabym się sprzedawać? Jak pani śmie robić mi tak ohydne propozycje.

— Ależ ja panience nic nie mówię, tylko powiadam, że tak nie można chodzić w podartych butach i nie poradzić sobie, dopóki się jest młodą i ładną... A muszę się przypominać, bo komorne potrzebuję mieć... Do jutra czekam, nie dłużej! Jak tam panna zresztą chce.

— Pójdę jutro znowu w różne miejsca.

— Ee, co to warte całe chodzenie... Gdyby panienka tylko naprawdę zechciała, toby może jeszcze dziś wieczór zapłaciła, a jutro się przebrała... Powiadam, że ten panicz z pierwszego zwraca do panny oczyma... No, mogę mu powiedzieć, że panienka nie od tego?

— Cóż pani sobie myśli... wypraszam sobie raz na zawsze...

— Oo, jaka mi przyzwoitka... A od kogóż ten liścik do panny, com go tam na stół pannie położyła... Gips jestem, jak to nie od faceta.

Marylka nie słucha dalej, tylko biegnie do siebie. A nuż to jaka posada... Może skąd jaka pomoc niespodziewana... Drżącymi rękoma rozrywa kopertę listu ze swoim adresem i czyta niecierpliwie:

„Droga Panienko!

W wielkiem niebezpieczeństwie znajduje się Panine dziecko. Niechże Pani więc śpieszy, byle nie było za późno. Ludzie, którym je pani oddała, odprzedali dziecinę na zabicie...“.

— Moje dziecko! — wyrwał się krzyk bolesny z piersi matczynej.